

Wójtowicz Milena

Pieć i inni

Z „Science Fiction” nr 17 – sierpień 2002

*Żyłem, kochałem i cierpiałem z wami
A jak już umarliście, to radźcie sobie sami*

Było ciemno. Odrobinę za ciemno, jeśli ktoś zapytałby Tomaszewskiego o zdanie. Wszyscy milczeli i rozglądali się nerwowo. Stali gdzieś, zbici w ciasną grupkę. Na pewno była tam podłoga. Może były też ściany, ale jakoś brakowało im odwagi, żeby wyciągnąć rękę przed siebie, w ciemność.

- Ale przecież my... - pierwsza odezwała się nieśmiało Adamkowa.

- No właśnie - odpowiedział ktoś głosem wrednego dyrektora szkoły, który właśnie znalazł dowód, że Iksiński i Ycinski z klasy trzeciej A (tak, chłopcy, do was mówię, od dawna miałem was na oku, wiedziałem, że coś się kroi, mój instynkt pedagoga nie zawiodł mnie kolejny raz) namalowali sprayem w sterylnie czystej łazience brzydkie słowo, i do tego z błędem ortograficznym.

Zapaliło się światło. Stali w pomieszczeniu recepcyjnym, o czystych jasnoblękitnych ścianach i takiej samej podłodze. Za nimi wisiała ciemność, uformowana w kształt mrocznego korytarza. Przed sobą widzieli eleganckie metalowe biurko z otwartym laptopem na blacie. Za biurkiem, na obrotowym krześle, siedział mężczyzna. Był ubrany w czerń, z subtelną, lekko sportową elegancją. Można było założyć, że każda ze sztuk garderoby - od czarnej koszuli, przez czarne dżinsy aż do butów i skarpetek, kosztowała więcej niż średnia krajowa. Mężczyzna miał też jasne włosy do ramion i przesunięte na koniec ostrego nosa okulary z prostokątnymi szklami.

Łokcie oparł na stole, dłonie splótł na wysokości twarzy.

- Jesteście martwi - stwierdził.

- Że jak?? - Kochanowskiemu najmocniej opadła niedogolona szczęka.

Mężczyzna rozparł się wygodnie na krześle.

- Myślicie, że przeżywa się spalenie żywcem? Nie musicie odpowiadać, to było pytanie retoryczne.

Adamkowa westchnęła.

- W niebie jesteśmy...

- Chciało by się - mruknął blondyn, sprawdzając coś w laptopie. - A kto w siedemdziesiątym trzecim, piątego lutego dokładnie, piętnaście minut po wyjściu Janickiej Katarzyny z mieszkania przy ulicy Armii Ludowej pięć...

Adamkowa straszliwie zbladła.

- Ja tylko raz... -jęknęła. - Przecie im się nie układało i ona też była latawica...

- Dekalog wisi za wami na ścianie - poinformował blondyn. - Sprawdźcie sobie sami, czego to porządному człowiekowi robić nie wolno.

Wszyscy jak jeden mąż odwrócili głowy. Przysięgliby, że przed chwilą ściany były puste, ale ktoś czerwoną pinezką przyczepił na jednej z nich kartkę z dziesięcioma akapitami wypisanym pogrubioną czcionką Arial o wielkości szesnastu punktów.

Witkowski zdjął czapkę i zaczął miąć ją w dłoniach.

- Znaczy się... - powiedział - to my jesteśmy w piekle?

- No - blondyn potwierdził i uśmiechnął się szeroko.

- Znaczy się, panie Lucyperze, chyba zaszła jakaś pomyłka.

- Po pierwsze: nie „Lucyperze”, po drugie: piekło nie myli się nigdy.

- Ale myśmy mieli, panie Boruta, iść prosto do nieba. My, znaczy się: Zgromadzenie Świętyni Najwyższej i Jedynej Prawdziwej Łaski.

Blondyn podniósł głowę znad laptopa.

- Po pierwsze: nie „Boruta”, po drugie: nie.

Wtrąciła się Adamkowa.

- Słucham.
- Jak można przenieść się z nieba do piekła, to może i odwrotnie, ja bym podanie napisała...
- Nie.
- Nie? - Adamkowa złożyła błagalnie ręce. - Nie.
- Znaczy się - westchnął Witkowski - że my tu już na zawsze?
- Diabeł się uśmiechnął.
- A gdzie inni? - Tomaszewski nieufnie rozejrzał się po pomieszczeniu. - Przecież nas się tam spaliło piętnaście osób.
Diabeł wzruszył ramionami.
- Przydziały to nie moja sprawa. Widocznie mniej grzeszyli. Może są w czyścicu.
Adamkowa się rozplakała.
- Ja z tym Janickim tylko raz! I tak naprawdę to ja wcale nie chciałam...
Diabeł westchnął ciężko.
- Zamknijcie się dusze potępione - warknął. - I posłuchajcie mnie przez chwilę.
- Wytrzeszczyli na niego oczy.
- Jesteście martwi - powiedział łagodnie Siergiej. - Czeka was wieczność w piekle, chyba że...
- Znaczy się... - zaczął Witkowski.
- Możemy pójść na ugodę. - Diabeł oparł łokcie na stole i pochylił się do przodu. - Wypuszczę was z powrotem na Ziemię, żebyście sobie jeszcze trochę pożyli, i na dodatek skasuję wasze pliki w naszej bazie danych. A wy mi za to zabijecie Pajaka Waldemara.
- Jak to tak? - jęknęła Adamkowa.
- Pajak Waldemar psuje nam koniunkturę. Naiwniacy, zamiast trafić w ręce autoryzowanych sekt, natykają się na Pajaka Waldemara, i wcale nie grzeszą - zasepił się diabeł. - Żadnych nadużyć seksualnych, rodziny nie rozpadają się, żadnego prania mózgu. Pajak Waldemar jest solą w oku piekła. Wy możecie to zmienić.
- Człowieka zamordować... ? - zawahał się Kochanowski.
- Co to dla was, parę razy prawie to zrobiliście - przypomniał mu Siergiej, poklepując leżące na stole akta. - Pomyślcie o korzyściach. - Wyciągnął z komputera dyskietkę i położył ją na aktach Kochanowskiego. - To jest wszystko, co piekło, niebo i sekcja przydziałów o was wie. Wystarczy jedna zapalka i będziecie mieli czyste konto. Witajcie, niebieskie przestworza. Zakładając oczywiście, że nie nagrzeszycie od nowa.
Wymienili między sobą spojrzenia.
- No to załatwione - stwierdził Siergiej.

* * *

Adamkowa otworzyła oczy. Zobaczyła błękitne niebo i poczuła zapach spalenizny. Obok usłyszała postękiwanie Kochanowskiego, który miał kłopoty z kręgosłupem i nie mógł samodzielnie wstać. Podniosła głowę i rozejrzała się. Leżeli wszyscy czworo na murawie pod lasem. Jakies sto metrów od nich dopalała się stodoła. Wokół pełno było strażaków i gapiów, karetka właśnie odjeżdżała, ktoś pakował czarne worki do furgonetki.

- O - powiedziała Adamkowa, bo na cokolwiek innego zabrakło jej konceptu.
- A żeby pani wiedziała. - Uśmiechnął się przechodzący strażak. - Posnęlibyście sobie bliżej tej chałupy i już by was nie było.
Tomaszewski przetarł oczy.
- Śniło nam się?
- Nie wiem i wiedzieć nie chcę. - Adamkowa poderwała się gwałtownie na nogi. - Ale ja idę do kościoła i wam też radzę.
- Wykluczone - odezwał się drugi strażak. Zdjął hełm i okazał się Anielką. - Piekelnicy wysłannicy do kościoła nie chodzą.
- Adamkowa jak stała, tak usiadła.
- Ładnie to tak? - zapytała srogo Anielka. - Dopiero co zawarliście umowę z piekłem, a już biegniecie do spowiedzi.
- Żadnego cyrografu nie podpisywałem. - Kochanowski uderzył się w piersi aż zahuczało.
- Nie musiało. Mamy wszystko na taśmie - wyciągnęła z kieszeni strażackiej kurtki kasetę wideo.
- O żeż ja cię - jęknął Kochanowski.

- No właśnie - przytaknęła Anielka. - Gdyby były jakieś trudności, skontaktujcie się z nami. Mamy doradców o najwyższych kwalifikacjach.
- Niby jak się kontaktować? - zapytał Tomaszewski. - Diabłu ogarek zapalić? Pójść w nocy na cmentarz?
- Anielka pokręciła głową.
- W kieszeniach macie telefony komórkowe z zaprogramowanym prostym wybieraniem. Klawisz 1 - Siergiej, 2 - centrala.
- Kochanowski pogrzebał w kieszeni i wyjął aparat.
- A jakoś prościej by nie można - zapytał, oglądając podejrzliwie telefon.
- Możecie przez kawiarenkę internetową. Adres: diabeł_3937 mała piekła kropka peel. Kochanowski zamrużył resztkami rzęs.
- Pająk Waldemar miał niegroźny wypadek samochodowy i jest teraz w szpitalu, jakieś pięć kilometrów stąd - powiedziała Anielka, podając im mapę. - W telefonach macie GPS, na wypadek, gdybyście się zgubili. Powodzenia - odwróciła się.
- Witkowski poderwał się na nogi.
- Chwileczkę, panienko! Ja słyszałem, że panienka się z piekła przeniosła z powodów, nazwijmy je fizycznych, więc może byśmy, korzystając z okazji...
- Anielka z rozmachem dała mu w twarz, tak że poleciał aż pod krzaczki.
- To że jestem w piekle nie oznacza, że przestałam być porządną dziewczyną i monogamistką. - Odeszła z godnością, znikając im zupełnie z oczu.
- Monogamiści to też jakaś spec służba? - zapytał się spod krzaczków Witkowski.

* * *

- Około pół godziny później zgubili się. Tomaszewski oglądał telefon, próbując znaleźć informacje o aktualnym miejscu pobytu. Adamkowa siedziała i płakała, Witkowski i Kochanowski tęsknili do butelki.
- Daj sobie spokój z tym dżipsem, kto wie, co to za diabelskie sztuczki - powiedział Kochanowski.
 - Wysłannicy piekielni - chlipnęła Adamkowa. - Na co mi to w życiu przyszło!!
 - Trzeba było nie grzeszyć z Janickim - rzucił jej Witkowski.
- Adamkowa zalała się łzami. Nagle zadzwonił telefon Tomaszewskiego, tak że ten prawie go upuścił. Wszyscy patrzyli na drgający aparacik - na czerwonym tle migał napis: „Siergiej”, a pod spodem - „odbierz”. Tomaszewski drżącym palcem nacisnął przycisk.
- Czy mi się wydaje, czy się zgubiliście? - Rozległ się głośny głos Siergieja a.
 - Tak jakby - powiedział Tomaszewski, odsuwając od siebie aparat jak najdalej.
 - Szpital jest jakiś kilometr na lewo od was, kierunek na te małe brzoźki.
 - Dziękujemy - podziękował Tomaszewski, bo jakoś nic innego nie przyszło mu do głowy.
 - Proszę bardzo - odpowiedział kwaśno diabeł. - I proszę przekazać panu Witkowskiemu, że jeśli nie wybije sobie Anieli z głowy, a proszę wziąć pod uwagę, że ja wiem, o czym grzesznicy myślą, to wszystkie grzechy waszej czwórki trafią do jego akt, łącznie z czynem lubieżnym popełnionym z Janickim Mikołajem, dnia piątego lutego siedemdziesiątego trzeciego roku.
 - Ja miałem wtedy osiem lat - jęknął Witkowski.
 - Grzeszyć można w każdym wieku - oznajmił Siergiej i rozłączył się.
 - Oł szit - zaklął Witkowski jak na filmie.
 - Nie klnij, bo diabeł usłyszy - pouczył go Kochanowski. - Sam słyszałeś, że oni są międzynarodowi, to pewnie i w każdym języku rozumieją.
 - To jak ja mam mówić? - zaperzył się Witkowski.
 - „O jejkę”, na przykład. To ładnie i nie grzeszysz.
 - O jejkę?
 - O jejkę.
 - O jejkę!

* * *

- Która kasa chorych? - Kobieta nie podniosła głowy.
- My jesteśmy... rodzina - zaczął Kochanowski. - Nasz krewny jest tu po wypadku.
- Proszę iść do rejestracji, tu jest kancelaria - kobieta machnęła, długopisem w powietrzu, wskazując bliżej nieokreślony kierunek.
- Poszli mniej więcej we wskazaną stronę, zatrzymali się przy okienku.
- Nasz krewny przebywa tu, w szpitalu... - zaczął Kochanowski.

- Nazwisko pacjenta - warknęła panienka z okienka.
 - Pająk Waldemar - powiedziała pośpiesznie, wciąż pochlipująca Adamkowa.
 - Państwo są..?
 - Rodzina - wtrącił Tomaszewski. - To żona. - Wskazał na Adamkowa, którą aż zatkało. - To syn. - Klepnął w ramię Witkowskiego.
 - My jesteśmy przyjaciele rodziny. - Kochanowski pokiwał energicznie głową. - Wspieramy ich.
 - Drugie piętro, sala piąta.
 - Dziękujemy.
 - Wszyscy szybko weszli do windy.
 - No i kto to zrobi? - zapytał Tomaszewski.
 - Chyba wszyscy - powiedział dość niepewnie Witkowski.
 - Niby jak? Razem rzucimy się na niego i narobimy hałasu na cały szpital? - wtrącił się Kochanowski. - To trzeba po cichutku. Trzeba zasłonić i szast prast.
 - Szast prast - powtórzyła ze zgrozą Adamkowa. Winda stanęła. Wyszli.
 - Czym „szast prast”? - zapytał Tomaszewski. Zatrzymali się.
 - No, cegłą. Albo nożykiem.
 - Na filmach to mają stłuczone butelki - podsunął Witkowski. - Albo coś z kroplówkami kombinują.
 - Od stłuczonej butelki to najwyżej pościel się pobrudzi - ocenił Kochanowski. - A kto go tam wie, czy on ma kroplówkę.
 Adamkowa desperacko złapała za rękaw stojącego obok lekarza, notującego coś na karcie.
 - Proszę pana, gdzie tu jest sala piąta.
 - Trzecie drzwi po lewej w tamtym korytarzu - powiedział lekarz, który okazał się być Siergiejem. Na białym fartuchu miał plakietkę „dr Cz. Arcik”.
 - O żeż ja cię -jęknął Kochanowski.
 - Uprzedzając pytanie - Siergiej schował długopis do kieszeni fartucha - nie ma kroplówki. Z cegłą też może być kłopot, bo najbliższa budowa jest trzy ulice stąd. Proponowałbym skalpel. W końcu jesteśmy w szpitalu.
 - Skalpel... - Kochanowski zasepił się. - A skąd go wziąć?
 - Siostró - zawołał Siergiej.
 Zza rogu wyszła Anielka w białym fartuszkach. Niosła metalową tacę, na której porozkładane było ze dwadzieścia różnych ostrzy. Z uśmiechem zatrzymała się przed nimi. Adamkowa pobladała.
 - Wybierajcie - powiedział Siergiej. Kochanowski, Witkowski i Tomaszewski pochyli się nad tacą. Witkowski chciał zajrzeć przy okazji Anielce za dekolt, ale zaraz sobie przypomniał o obietnicy diabła. Kochanowski wziął do ręki największy skalpel.
 - A tym to jak... ? - Zamachnął się nieporadnie.
 - Siostró, arbuze - powiedział Siergiej. Anielka odwróciła się na chwilę, jakby odstawiała tacę na niewidoczną półkę, a po chwili trzymała już w rękach dorodnego arbuza. Siergiej wziął od niej owoc i podtrzymując na lewej dłoni, prawą wbił w niego płynnym ruchem ostrze.
 - Aaaaa!! - wrzasnęła Adamkowa i rzuciła się do ucieczki.
 - Łapcie ją, a potem zajmijcie się Pajakiem. - Siergiej wcisnął Kochanowskiemu skalpel z arbuzem, a sam razem z Anielką wszedł do windy. Tomaszewski zauważył, że wcisnęli najniższy przycisk.

* * *

Adamkowa dopadli na klatce schodowej. Tomaszewski i Witkowski prowadzili ją pod rękę. Kochanowski nioś arbuza z wciąż wbitym skalpelem. Zatrzymali się niepewnie przed drzwiami z numerem pięć. Kochanowski chwycił klamkę.
 - Państwo do kogo? - zapytała pielęgniarka. Kochanowski aż podskoczył.
 - Do Pajaka Waldemara. Rodzina - odparł nerwowo Tomaszewski.
 - Tego pana już tu nie ma. Nic mu się poważnego nie stało, wypadek był niegroźny - dodała pielęgniarka, patrząc na zapłakaną Adamkowa. - Ale policja go przed chwilą zabrała. Dać pani coś na uspokojenie? Wezwę lekarza.
 - Nie, nie trzeba - zaprotestował Tomaszewski.
 - My już pójdziemy - Kochanowski schował za siebie arbuza. - Do widzenia.
 Wepchnęli Adamkowa do windy, sami weszli za nią.
 - No i co teraz? - zapytał Tomaszewski.
 - Sam pan słyszałeś - westchnął Kochanowski - zabrali go na policję. Nic nie poradzimy.

